

**Ktoś musiał wreszcie opowiedzieć tę historię.
Książkę czyta się ze ściśniętym gardłem.
Gorąco polecam.**

WOJCIECH SMARZOWSKI

Najważniejsze rzeczy ratuje się przez przypadek. Tak było z tymi listami. Pęk pozostałych papierów z niemieckimi stemplami przeleżał prawie sześćdziesiąt lat w pudełku do butów u Jadwigi Klimaszewskiej, profesor etnografii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Być może tych 129 listów i kart pocztowych z początku 1944 roku, napisanych przez ocalałe z rzezi wołyńskiej dzieci, nigdy nie ujrzałoby światła dziennego, gdyby nie historyk IPN z Lublina, doktor Leon Popek.

I tak zaczyna się ta historia. Odnalezione listy są czymś więcej niż tylko historycznym świadectwem. Pod czułymi słowami do rodziców kryje się obraz zbrodni na Kresach widziany oczami dzieci. „Proszę Mamusia, co tam się dzieje. Czy dalej tak mordują i palą? Czy już nie? I niech Mamusia napisze, co Wanda robi (...)”

KONRAD PISKAŁA
LEON POPEK
TOMASZ POTKAJ

KRES

WOŁYŃ: HISTORIE DZIECI
OCALONYCH Z POGROMU

KONRAD PISKAŁA

LEON POPEK

TOMASZ POTKAJ

KRES

WOŁYŃ
HISTORIE DZIECI OCALONYCH
Z POGROMU

MBP Cieszanów
PATRONAT MEBP Kres : Wołyń : historie... 978-83-11-04110-4

HIST
MAG
.ORG



0000026896

Cena: 34,90 zł

fabuła
frazza
WYDAWNICTWO

fabuła
frazza
WYDAWNICTWO



DOMU RODZINY WERESZCZYŃSKICH JUŻ NIE MA. TERAZ JEST TU SKLEP.
ZIELONY DĄB, UKRAINA

6.

Zielony Dąb na Wołyniu, lato 1943 rok.

Wacław Wereszczyński zaprzągnął wóz i z synami, Ambrożym i Jankiem załadował najpotrzebniejsze rzeczy. Pierzyny, ubrania, naftę, mąkę, chleb, kaszę, ziemniaki. Są gotowi do drogi. Po podwórzu kręci się młodsze rodzeństwo. Ambroży stoi przy ojcu. Choć ma dopiero 12 lat, czuje się dorosły. Czekają na mamę. Jednak Weronika Wereszczyńska wyraźnie odwleka moment rozpoczęcia podróży. Nagle zakrywa oczy dłonią, wybuchając płaczem i wbiega do domu. Wacław Wereszczyński z synem patrzą bezradni.

- Koń nie może stać zaprzęgnięty nie wiadomo jak długo - mówi wreszcie mężczyzna i daje znać synowi, żeby rozkulbaczył konia. Rozładowują rzeczy, które przed chwilą starannie układali. Z wyjazdu z Zielonego Dębu dzisiaj nic nie będzie. Ale może to i lepiej. Żona rozpali w piecu, napiecze chleba i ruszą w drogę za dwa, może trzy dni. Wyruszą na pewno.

Wacław ustalił z żoną, że do Krzemieńca pojedą oddzielnie. On sam załadowanym wozem przez wieś, a Weronika z dziećmi pójdzie wcześniej inną drogą i dołączy za opłotkami. Chodzi o to, żeby jak najmniej osób widziało, że wyjeżdżają razem. A zwłaszcza ci, którzy mieszkają po drugiej stronie drogi. Ukraińscy sąsiedzi.

Gospodarstwo Wereszczyńskich jest duże. To bliźniaczy murowany dom zajmowany przez rodzeństwo. W jednej części mieszka Stanisław, przedwojenny oficer WP i komendant Strzelca wraz z niezamężną siostrą Marią. Niedawno dołączyła do nich druga z sióstr, Justyna Borowska, która do Zielo-

nego Dębu przyjechała prosto z Paryża. Justyna przed wojną była nauczycielką polskiego w Równem, a potem wyjechała do Francji, gdzie wyszła za mąż. W tej części domu jest też wydzielony pokój z osobnym wejściem, który służył jako sala lekcyjna czteroklasowej szkoły.

Drugą część zajmuje Wacław z żoną Weroniką i ośmiorgiem dzieci. To w kolejności: Kazimierz, Bolesław, Jan, Ambroży, Stefan, Maria, Piotr i Aleksander.

Ród Wereszczyńskich mieszkał w Zielonym Dębnie od pokoleń. Przyjechali tu z kijowszczyzny. Kupili ziemię na wzgórzu, tam budowali domy. We wsi było ich wielu. Część, w której mieszkali, nazywano nawet Wzgórzem Wereszczyńskich.

Wiosną Wacław Wereszczyński z synami i bratem wykopał w sadzie głęboki schron. Wzmocnił strop, starannie zamaskował go murawą, a wejście zakrył umocowanym na zawiasach sedesem. Na pierwszy rzut oka przypominało to raczej ustęp niż kryjówkę. W tym schronie ostrzeżona przed niebezpieczeństwem rodzina spędziła Wielkanoc 1943 roku.

Ukraińcy weszli wtedy do wsi nocą. Wereszczyńscy ukryci w ziemiance słyszeli, jak napastnicy pładrują dom, otwierają drzwi do stajni i stodoły. Jeden otworzył nawet drzwi do ustępu, ale nie zorientował się, że to kryjówka. Wereszczyńscy odważyli się wyjść dopiero po wielu godzinach. Wacław zarządził, że odtąd noce będą spędzać w lesie. Dla większego bezpieczeństwa spali podzieleni na grupy. Wołyński maj w 1943 roku był wyjątkowo ciepły i piękny. O świcie budziły ich ptaki. Rano wracali do gospodarstwa.

Chyba wtedy pojawiła się myśl o wyjeździe. Ciotka Justyna z braćmi, Kazikiem i Bolkiem przedostali się do Krzemieńca. Chcieli sprawdzić, czy da się tam dojechać i co się dzieje w mieście. Ciotka przebrana za Ukrainkę zdążyła bocznymi drogami furmanką, a czasem przez wsie. Bracia omijali zabudowania, a potem dołączali do Justyny. W Krzemieńcu spotkali setki

uchodźców i usłyszeli straszne opowieści o zabitych albo wypędzonych z domu Polakach. Mimo to Kazik i Bolek postanowili zostać w mieście, a Justyna wróciła do Zielonego Dębu. Po pewnym czasie Niemcy wywieźli chłopaków na roboty.

For Huk, ukraiński sąsiad Wereszczyńskich, sołtys wsi, już kilka razy ratował rodzinę z opresji. Uchronił ich między innymi przed wywózką na Syberię za okupacji sowieckiej. Najczęściej robił to za pieniądze Wereszczyńscy uchodzili bowiem za ludzi dość zamożnych. Poza tym Wacław wierzył, że ten zły czas da się jakoś przeczekać. W gospodarstwie mieli ukrytą broń. Dwa, może trzy karabiny.

Rok wcześniej, w lipcu 1942 roku, Ambroży z Jankiem jak zawsze paśli krowy na łąkach pomiędzy Andruszówką a Hurbami. Żeby czas szybciej minął zaczęli skakać z urwistej krawędzi wzgórza do piaszczystego parowu. Po oddanym skoku Janek wdrapywał się na skarpe. Wtedy zobaczył leżące na piasku okulary i kolorowy szalik. A obok wystającą z piachu ludzką nogę. Zawołał brata. Ambroży pilnował, czy nikt się nie zbliża, zaś Janek zszedł na dno piaszczystego parowu. Odkrył tam zwłoki siedmiu osób: trójki dzieci, dwóch kobiet i dwóch mężczyzn. Po rysach twarzy chłopcy zorientowali się, że to Żydzi. Zabito ich jakimiś tępymi narzędziami.

W domu ojciec uważnie wysłuchał relacji.

- Ponad wszelką wątpliwość to ukraińska zbrodnia - powiedział.

Dopiero wtedy wyjawiał, co mówiono we wsi.

- Jakaś żydowska rodzina ukrywała się w okolicy i poszukiwała schronienia. Podobno przyjął ich Aleksander Stepańczuk ze Spornego Kąta, ich dawny znajomy. Niestety, nacjonalista. No a potem słuch o nich zaginął.

Miesiąc później dwaj starsi bracia Wereszczyńscy, Kazimierz i Bolek, idąc leśną ścieżką zobaczyli leżące w paprociach ciała. To byli dwaj młodzi

chłopcy. Ręce mieli skrępowane z tyłu paskami od spodni. Na plecach po kilkanaście ran od noża lub bagnetu. Z ich dokumentów wynikało, że są Rosjanami.

Chłopcy opowiedzieli rodzicom o strasznym odkryciu. Ci zabronili im więcej tam chodzić. Mimo to bracia w wielkiej tajemnicy, dopuszczając do sekretu Janka, wrócili i pochowali zabitych¹¹.

Chwilowy spokój wczesnego lata 1943 roku zakłóciła wiadomość o uprowadzeniu Janka Jasińskiego od sąsiadów. Na podwórko weszło trzech uzbrojonych Ukraińców. Kazali mu zaprząć konia i jechać do sąsiedniego przysiółka. Kiedy zniknęli za wsią, rozległ się strzał. Gienka, żona Janka, znalazła go na furmance z rozszarpaną twarzą i związanymi z tyłu rękami.

5 czerwca Ukraińcy napadli na odległą zaledwie o kilka kilometrów od Zielonego Dębu wieś Hurby. Około tysiąca bandytów, mieszkańców okolicznych wiosek, otoczyło Hurby. Z relacji ocalonej Ireny Gajowczyk: „Banderowcy uderzali na osłep siekierami i nożami kogo dopadli. (...) Kilku podbiegło do mojej mamy i jeden z nich uderzył ją w głowę siekierą. Mama upadła i wypuściła z rąk brata Tadzia, a ja z przerażeniem krzyczałam. Na całym polu ogromny wrzask i lament, ludzie błagali oprawców o darowanie życia, no bo przecież ich znali. Mama, czołgając się przygarnęła do siebie płaczącego Tadzia i zakrwawionemu dała pierś. Po niedługiej chwili banderowcy ponownie dobiegli do mojej mamy i podcięli jej gardło. Jeszcze żyła, kiedy zdarli z niej szaty i podcinali piersi. Ja leżałam przytulona do ziemi, chyba ze strachu nawet nie oddychałam. Mama i Tadzio strasznie się męczyli.”¹² W Hurbach zamordowano 250 osób bez jednego strzału: bagnetami, siekierami i nożami. Gospodarstwa rabowano i palono. W niektórych żywcem spłonęli ukrywający

się ludzie. Trzy dni po napadzie, z Mizocza przyjechało 27 furmanek. Polacy i niemieccy żandarmi. Pochowali zamordowanych, a ocalałych zabrali ze sobą.

Ukraińskie sąsiadki z Zielonego Dębu radziły, żeby prace w obejściu wykonywać w spokoju i nie dać po sobie poznać, że jest się Polakiem. Bo skąd niby leśni będą wiedzieć, kto obcy, a kto swój? Wprawdzie po wsi ciągle kręcili się jacyś obcy Ukraińcy, ale nie mieli przy sobie broni. Jeden z nich, nauczyciel z pobliskich Noworodczyc, nosił polskie nazwisko Zaręba i pięknie mówił po polsku. Kiedy zwołał zebranie, poszły na nie Maria i Justyna, ponieważ go znały. Nauczyciel mówił, żeby nie bać się UPA, bo Polakom z Zielonego Dębu nic z ich strony nie grozi.

Tak nadeszła sobota 3 lipca. Około południa Wereszczyńscy usłyszeli hałas jadących furmanek. Po chwili zobaczyli je na drodze od strony Pasieki. Za furmankami szła tyraliera mężczyzn w wojskowych mundurach z karabinami. Otoczyli położoną wśród pagórków i dolin wioskę. Potem chodzili od domu do domu i wyprowadzali polskich mieszkańców. Zebrali ich na podwórzu Wereszczyńskich. Janek ze stryjem Stanisławem byli poza domem. Widząc, co się dzieje, ukryli się w pobliskim lesie. Dalszy przebieg wypadków obserwowali z oddali.

Na podwórzu stało 55 osób. Mundurowi przedstawili się jako sowieccy partyzanci generała Sidora Kołpaka i zapowiedzieli zebranie.

Ambroży siedział w ogrodzie z ciotką Justyną. Jeden z żołnierzy, również im kazał iść na zebranie. „Dlaczego w zebraniu ma brać udział dwunastolatek?” – pomyślał chłopiec. Kiedy przechodzili przez furtkę, zauważył, że mężczyzna w mundurze wetknął za cholewę buta długi rzeźnicki nóż. Wtedy wszystko zrozumiał.

Na podwórku jeden z Ukraińców podszedł do Wacława Wereszczyńskiego. Miał w ręku siekierę i kazał mu iść do stodoły. Ambroży poszedł z oj-

¹¹ Relacja Jana Wereszczyńskiego w: Leon Karłowicz, Leon Popek „Świadkowie oskarżają” s. 324-338

¹² Relacja w „Głos Kresowian”, nr 11, maj-czerwiec 2003

cem. Sam nie wie dlaczego. Może dlatego, że zawsze bardziej trzymał się ojca niż mamy? Bandyta musiał wiedzieć, że Wacław ukrywa w stodole pieniądze lub złoto. Poleciał, żeby Wereszczyński pokazał, gdzie je schował. Ten powiedział, że nie ma. Ukraińiec sam wskazał miejsce na klepisku i kazał tam kopać. Ale Wacław Wereszczyński kopał niemrawo. Wtedy Ukraińiec wziął zamach i w jednej chwili rozplatał mu głowę siekierą. Ambroży stał dwa kroki za nimi.

Chłopiec rzucił się do ucieczki. Na zewnątrz, na podwórku trwała już rzeź. Krzyczeli mordowani i mordercy, którzy tak jak w Hurbach zabijali za pomocą wideł, noży, siekier. Ogień obejmował dom i zabudowania gospodarcze. Ambroży przebiegł przez podwórze do domu. Ruszył do korytarza prowadzącego do szkoły. Tam ogień jeszcze nie dotarł. Wiedział, że na zewnątrz, za drzwiami stoją banderowcy. Ale tędy prowadziła jedyna droga do życia. Po cichutku odsunął zasuwę i z rozmachem odepchnął skrzydło drzwi tak mocno, że trafiło jednego z bandytów. Ten upadł. Drugi, zaskoczony, złożył się do strzału, ale chłopiec już mknął w stronę ogrodu i lasu. Ukraińcy zaczęli go gonić. Kątem oka dostrzegł, że nieopodal biegną jeszcze inni bandyci z bronią. Padły strzały. Ambroży zorientował się, że gonią kuzyna, Łukasza Wereszczyńskiego. Był starszym człowiekiem i nie mógł uciekać tak szybko, jak dwunastolatek. Ukraińcy dogonili go i zakłuli bagnetem. Po kilkuset metrach Ambroży dostrzegł kuzynkę Lodzię Jasińską, która biegła w przeciwną niż on stronę, tam gdzie trwała zagłada. Nie rozumiał, dlaczego dziewczyna biegnie po śmierć, ale nie było czasu na zastanowienie. Wołał ją, nie usłyszała.

Dobiegł do skarpy. Poniżej ciągnął się wąwóz, ale Ambroży nie zszedł tam od razu. Przypuszczał, że wokół wsi są grupy Ukraińców, które mają wyłapywać uciekinierów, a po spaleniu wsi pomóc wywieźć zrabowany dobytek. Po chwili na dole dostrzegł trzy furmanki, usłyszał głośnie ukraińskie

rozmowy. Zaczekał, aż przejdą. Po drugiej stronie wąwozu było wzniesienie, odległe mniej więcej o kilometr. Tam dotarł.

Ciągle słyszał jęki, krzyki, wołanie do Boga. Czuł swąd palonych ciał, ludzkich i zwierząt. Widział ogień i dym. Ale nie uronił ani jednej łzy. Nie pamięta, ile czasu tam spędził. Pewnie kilką godzin. Do czasu, aż zobaczył furmanki bandytów. Wracali z łupami do pobliskiej wsi, gdzie mieli bazę. Byli pijani.

Dopiero wtedy z duszą na ramieniu Ambroży wrócił do wsi. Pamiętał z opowiadań starszych, że Ukraińcy mają zwyczaj zasadzania się po akcji na członków rodzin, którym udało się zbiec. Był więc bardzo ostrożny. W każdej chwili gotowy do ucieczki. Wszedł na podwórze. Na klepisku wypalonych stodoły zobaczył stosy zwęglonych ciał. Na bosaka kroczył między trupami. Gęsta, zastygła krew sięgała mu do kostek. Małutkie dziecko zabite uderzeniem w głowę, to jego trzyletni brat Olek. Mężczyzna z rozrąbaną czaszką to ojciec. Kobieta leżąca twarzą do ziemi – matka. Dalej leżały ciała stryja Kazimierza i jego żony Ludwiki. Ciotkę Justynę rozpoznał po fragmencie niedopalonego francuskiego pulowerka. W Zielonym Dębie żadna inna kobieta nie miała takiego.

Kiedy patrzył na miejsce zbrodni, na pogorzeliśku niespodziewanie pojawiła się ciotka Antonina, której również cudem udało się uniknąć śmierci.

Z nią Ambroży spędził w lesie pierwszą noc po pogromie. W przeciwieństwie do ciepłego maja, lipiec 1943 roku był deszczowy i chłodny. Byli przemarznięci, mokrzy, wyczerpani. Ambroży wiedział od ciotki, że przeżył brat Janek oraz stryjowie, Stanisław i Marcelli. Następnego dnia wieczorem spotkali się na pogorzeliśku, aby pochować ofiary. Kopali dół ciągle rozglądając się dokoła. Mężczyźni nosili ciała dorosłych, a Janek z ciotką zbierali dzie-

cięce kości. Były kruche, rozpadały się w dłoniach. Pracę przerwały strzały. Bandyci zorientowali się, że ocaleni wrócili. Kolejna ucieczka do lasu.

W PasiECE mieszkała pewna ukraińska rodzina. Byli Świadcami Jehowy. Na Kresach mówiono o nich sztundyści. Mieli opinię ludzi niezwykle prawych, a przy tym wyjątkowo odpornych na propagandę nacjonalistyczną. U nich schronił się Ambroży z ciotką. Dostali posiłek i nocleg. Ale nie mogli zostać dłużej, bo banderowcy szukali uciekinierów po całej okolicy. Znowu schronili się w lesie.

Było ich tam kilkoro. Poza ciotką, bratem i stryjem także sąsiadka Krajewska z małym dzieckiem na rękach. Uradzili, że w przypadku pościgu będą uciekać w różnych kierunkach. Wtedy może ktoś ocaleje.

Tak minęło kilka kolejnych dni. Czasem ktoś musiał wyjść do wioski, żeby zdobyć trochę pożywienia. Zerwać z sadu owoce. Wziąć resztki jedzenia. Albo zapukać do jakiejś chałupy i poprosić.

Był piękny letni dzień. Ambroży szedł drogą od strony lasu. Brudny, zawoszony, w podartym ubraniu, bez butów. W pewnej chwili dostrzegł trzech mężczyzn na koniach. Było za późno, żeby się cofnąć. Po lewej stronie, może 50 metrów od drogi, grupa ukraińskich dzieci pasła krowy. Jednego z chłopców Ambroży znał. Ruszył w ich stronę. Starał się iść spokojnie, choć serce waliło mu jak oszalałe.

- Powiedźcie, że mnie znacie - poprosił po ukraińsku. Znał ich język. Wychował się przecież wśród ukraińskich sąsiadów. Ryzykował, ale to była jedyna droga ratunku. Mężczyźni na koniach sprawiali wrażenie, jakby nie byli zainteresowani tą sytuacją. Jednak w pewnym momencie zatrzymali się. Porozmawiali przez chwilę, po czym dwóch podjechało do dzieci.

- Jak się nazywasz?

Ambroży podał imię i nazwisko jednego z ukraińskich sąsiadów z Zielonego Dębu.

- Zmów Ojcie nasz.

- Отче наш, що єси на небесах, нехай святиться ім'я Твоє/Otcze nasz, szczo jesy na nebesach, nechaj swiatyt'sia imja Twoje...

Recytował płynnie. Nauczył się, gdy w okolicy Zielonego Dębu zaczęło robić się niebezpiecznie. Ojciec powiedział mu, że Ukraińcy w ten sposób rozpoznają swoich. Kiedy skończył modlitwę, w powietrzu zaległa cisza.

- To bywajcie - powiedział w końcu jeden z tych na koniu. Powoli odjechali.

Grupa ocalonych kierowała się na Szumsk. Mówiono, że jest w miarę bezpieczny. Kiedy w okolicy zaczęły się mordy, a do miasteczka napłynęli uchodźcy, Niemcy zaproponowali Polakom stworzenie samoobrony i wyposażyli ich w broń.

Ale droga do Szumska była daleka i pełna śmiertelnych pułapek. Pewnego ranka po kolejnej nocy w lesie Ambroży z bratem Jankiem poszli do znajomego ojca, Ukraińca, również sztundyści. Ojciec przekazał mu nawet do przechowania część rzeczy w dużym kufrze. Były tam skrzypce najstarszego brata. Być może ten Ukrainiec sam je zrobił, był bowiem niezłym lutnikiem. Jego dom znajdował się na skraju wsi, kilkaset metrów od lasu. Kiedy chłopcy byli w połowie drogi, dostrzegli pięciu banderowców jadących konno.

- Przyspieszmy, może zdążymy dojść do domu - powiedział Ambroży, a brat tylko skinął głową. Była pora obiadu. Rodzina siedziała przy stole nad parującym, ciepłym jedzeniem. Może to był barszcz, może pierogi albo ziemniaki.

- Powiedźcie, że jesteśmy waszymi dziećmi - poprosił Ambroży. Za oknem uzbrojeni mężczyźni zsiadali już z koni.

Mężczyzna milczał. Ruchem głowy wskazał drzwi do sąsiedniego pokoju. Tam były kolejne drzwi. Za nimi korytarzyk, a przy ścianie drabina na strych. I jeszcze jedno wyjście – na ogród. Janek był już w połowie drabiny, ale Ambroży ściągnął go w dół.

– Strych to pułapka, nie ma drogi ucieczki, jedynym ratunkiem jest ogród. Niech nas zastrzelą w czasie ucieczki. Śmierć od kuli jest lżejsza niż od noża!

Biegiem rzucili się do ogrodu, a potem w stronę lasu. Strzały nie padły. Dopiero kiedy chłopcy dobiegli do pierwszych drzew, poczuli się bezpieczni.

Nadszedł sierpień. Ocaleni z Zielonego Dębu od ponad miesiąca byli w drodze. W końcu dotarli do Szumska. Wokół toczyło się w miarę normalne życie. Bruk na rynku był rozgrzany od słońca. Ambroży usiadł na krawężniku obok brata i stryja. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Zamknął oczy. Było mu wszystko jedno, co dalej z nim się stanie.

7.

Krzemieniec Wołyński, 1943 rok.

Frankowi Przytomskiemu wydaje się, że idą między łunami bez końca. W ciemnościach zgubili drogę. Zaczyna świtać, a oni już dawno powinni dotrzeć do Białokrynicy. Zamiast tego dochodzą do jakiejś wioski. Są głodni i spragnieni, a na skraju zabudowań widzą studnię. Wahają się, czy podejść. Po chwili jakaś staruszka wyłania się z pobliskiej chałupy i idzie po wodę. Zbiegają się na odwagę.

– Mateczko, co to za wioska? My z Daniłówki do Białokrynicy idziemy – zagaduje Klementyna.

Ukrainka wyciąga wiadro ze studni, podaje Klementynie i mówi:

– Do Białokrynicy prowadzi tamta ścieżka, ale nie idźcie przez wieś. Uciekajcie dzieci, bo was pomordują.

Już nie patrzą, jak kobieta znika w gospodarstwie, biegiem wracają do lasu. Okrążają wieś i odnajdują właściwą drogę. Tego samego dnia wyczerpani docierają na miejsce. U znajomych ojca zostają dwa miesiące. Nie jest im źle. Matka pomaga przy krosnach, a Franciszek z rodzeństwem pasą krowy. Jednak tu też nie czują się bezpiecznie. Nikt się nie czuje, nawet miejscowi. Już w marcu banderowcy wymordowali Polaków z pobliskiej wsi, a gospodarstwa spalili. Klementyna postanawia uciekać dalej, do Krzemieńca.

„Groźnie wisi nad miastem, jak stożek wulkaniczny, symetryczna góra Bony ochrzczona imieniem, która Juliuszowi tak silnie wraziła się w duszę, że widzi ją zawsze i wszędzie: w Paryżu, Szwajcarii czy Ziemi Świętej”... – chwalił Krzemieniec Informator Turystyczny z roku 1923. Franciszkowi góra